



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



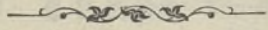
CÓRKA EMINA-BASZY.

Słynny podróżnik Emin-basza, rządcą Sudanu zamordowany w 1893 roku przez zbuntowanych Arabów, zwał się rzeczywiście Schnitzler i był Europejczykiem, podobnie jak wielu dygnitarzy wschodnich, którzy zręcznością umieli zdo-

być sobie łaski sułtana lub kedywa. Ożeniony z Abisyńczyką zwaną Soferan, zmarłą już również, dr. Schnitzler zostawił dwunastoletnią córkę, która wychowuje się obecnie u krewnych jego na Szląsku. Córka ta imieniem Ferida,

przedstawiona na rycinie naszej, jest ładnym dzieckiem z dużymi czarnymi oczyma, włosami jak heban, z cerą śniadą, smukła i zręczna w ruchach jak gazella, oprócz arabskiego ojczywego języka, zna kilka narzeczy szczepów wschodniej Afryki i mówi dobrze po włosku, francuzku i niemiecku.

Mimo znacznego majątku zostawionego jej przez ojca, nawyknięcia Feridy, są bardzo skromne, i niema wcale zamiłowania do wschodniego zbytku, który otaczał jej kolebkę. Lubi natomiast czynić dobrze i wspierać ubogich, o ile tylko nadarzy się jej po temu sposobność.



W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Halm opierał się łagodnie, ale ujrawszy niezadowolenie, malujące się na twarzach ludożerców, zmiękł odrazu i zdjął z ciężkim westchnieniem kamizelkę, odczepiwszy wprzód łańcuszek z zegarkiem.

Błyszczący chronometr złoty wzbudził na nieszczęście pożądlivość czarnych. Zanim nasz uczonej obejrzał się, jego czasomierz wisiał już na piersiach jednego z kanibalów, który był widocznie bardzo dumnym z tej ozdoby. Inni murzyni, pozbywszy się wszelkiej delikatności, szarpali nieszczęśliwego doktora, jak kruki.

Nasz uczonej, drząc na samą myśl, iż jego opór może przyprowadzić do wściekłości czarnych, poddał się z rezygnacją ich wymaganiom. Usiadłszy na trawie, zdejmował po kolei wszystkie części swej garderoby i wręczał je, ze ściśniętem sercem ludożercom.

Cheiał zatrzymać chociaż to, co było w jego oczach niezbędnem dla zadość uczynienia przyzwoitości, ale cheiwość dzikich nie pozwalała mu liczyć się z podobnymi względami.

Niebawem doktor ujrzał się ubranym bezporównania gorzej, aniżeli krajowcy, obdarowani przez niego, z których każdy pysznił się to skarpetkami, to chustką od nosa, to kapeluszem. Nie potrzebował zadość uczynić tylko kobietom i dzieciom, odsuniętym od podziału łupem. Pozbywszy się najostatniejszej części swego kostjumu podróznego, Halm podłożył kolana pod brodę i skurczony siedział, rzucając nienawistne spojrzenia na czarnych.

— Oddałem im wszystko — myślał, — przypuszczam, iż niczego więcej nie mogą odemnie wymagać.

Ale wnet przypomniał sobie, iż ma do czynienia z kanibalami i to wywołało w nim nowe obawy.

— Bob powiada, iż mięso białych wydaje się im niesmacznem. Oh, żeby to było tylko prawdą!

Pytanie jednak, czy z braku czarnego...

Doktor nie mógł rozbiierać dalej tej kwestyi, gdyż zrobiło mu się słabo, tak iż musiał się oprzeć plecami o pień eukaliptusa. W uszach mu szumiało i dzwoniło, murzyni tańczyli mu przed oczyma, jak gdyby w dzikiej radości na widok porządnego kawała talgoro.

Przez szaro czerwoną mgłę ujrzał, że ów zuchwały drab, który mu zdjął kapelusz, zbliża się doń z dzidą w ręku. Tak niestety, nie omylił się. Teraz z kolei wydrą mu życie, a potem...

Cheiał się zerwać i uciekać, otworzył usta, żeby wołać o pomoc, ale siły opuściły go zupełnie; zamknął powieki i runął bezwładny na ziemię.

Kiedy przykry chłód przywrócił doktorowi przytomność, dookoła panowały grube ciemności i głucha cisza. Na tle bezkłęskowego nieba rysowały się niewyraźnie jakieś sylwetki, które nasz entomolog wziął zrazu za postacie ludożerców; były to jednak pojedynczo rosnące na polanie krzewy, kołysane nocnym wiatrem. Poznaawszy swą pomyłkę, doktor podniósł się z przesiąkniętej rosą trawy i, szczękając zębami, macał się z podziwieniem po gołych nogach i ramionach. Niebawem też przypomniał sobie wszystkie szczegóły przygody z ludożercami i zaczął trwożnie oglądać się, czy nie ujrzy gdzie w dali blasku ognisk, rozpalonych przez swych prześladowców.

Nie dostrzegłszy nigdzie nic podejrzanego, nabrał odwagi. Przekonawszy się, że ma całe członki i kości, postanowił udać się na poszukiwania swego konia.

Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków w kierunku rzeki, tonącej w gęstych oparach, a już musiał zaniechać swego zamiaru; ostra trawa i kolczaste rośliny kaleczyły mu bowiem bosc nogi.

Chcąc nie chcąc, doktor zatrzymał się tuż przed krzakami, w których wieczorem polował na cykadę i, drząc na całym cielem od przenikliwego zimna nocy australskiej, zaczął rozmyślać nad tem, co mu wypadalo uczynić.

Iść dalej, nie zważając na kolce? Ale w którą stronę? Nie wiedział przecie, gdzie znajdował się jego koń. Bez ubrania zresztą nie mógłby się nigdy przedrzeć przez gęste, cierniste zarosła, które przebywał wczoraj w pogoni za nieznanym owadem.

Nadstawiał uszu w nadziei, iż usłyszy parskanie swego wierzchowca; oprócz wszakże przenikliwego głosu jakiegoś nocnego ptaka, nic innego nie był w stanie pochwycić w posród monotonnego szumu wiatru.

— A może dzicy znaleźli konia i uprowadzili go z sobą? Kto wie nawet, czy nie zabili go i nie zjedli?

To przypuszczenie było prawdopodobnem; Halm zdecydował się więc przepędzić noc, jak się da i oczekiwać dnia; wtedy albo znajdzie konia, albo też towarzysze przyjdą mu z pomocą.

Zrezygnowany, entomolog nasz wczuł się w gęsty krzak i otuliwszy się jego gałęziami, jak mógł najlepiej, zaczął rozmyślać nad swem smutnem położeniem.

Co się z nim stanie, jeżeli Dugan nie potrafi go odszukać? Bez odzieży, bez broni i bez żywności zmarnie w nocy, albo zginie z głodu. Ach, łotry krajowcy! Jakże nieczennie nadużyli jego wspaniałości i szczodrobliwości! Zabrali mu wszystko, do ostatniego kawałka, nie turbując się, że nie jest przyzwyczajony chodzić nago, tak jak oni! Dlaczegoż był tak powolnym względem tych rabusiów? Dlaczegoż nie rozpędził ich na cztery wiatry kulakami, albo pierwszym lepszym kijem, podniesionym z ziemi? Przecie widocznie bał się go z początku, dopóki nie okazał się zbyt łagodnym. O, gdyby miał teraz pod ręką tych nikczemników, połamałby im kości, nie zważając na ich pałki i dzidy!

Siedząc tak pod krzakiem i szczękając zębami, Halm poczuł w sobie nagle wojowniczego ducha, ułamał z trudem grubą gałąź, położył ją przed sobą na wypadek, gdyby czarni zechcieli go jeszcze napaść w nocy, lub jutro, kiedy będzie szukał konia.

To pewna, że nie daruje im tego rabunku; znajdzie winowajców przy pomocy Dugana i zemści się za tę noc, przepędzoną o chłodzie i głodzie.

Dla przywrócenia krążenia krwi w zeszywniałych od nieznosnego zimna członkach, szanowny entomolog wyłaził kilkarotnie ze swej kryjówki i skakał na murawie, zapomniawszy o swej powadze uczonego.

Rozgrzawszy się cokolwiek szybkim ruchem, otulił się znów gałęziami, przeklinając, na czem świat stoi, zuchwałych murzynów.

— Dziwna rzecz! Dlaczego ci kanibale nie zamordowali mnie i nie zjedli, kiedy leżałem bez zmysłów i nie mogłem się bronić? — myślał. — Bob miał więc słusność, utrzymując

że nie gustują oni w mięsie z białych ludzi. Ostatecznie nie groziło mi tak wielkie niebezpieczeństwo, jak sądziłem.

I doktor mimowoli uczuł w głębi serca wyrzuty sumienia, że tak łatwo uległ żądaniom dzikich. Kto wie, czy nie udałoby mu się ocalić chociaż połowy ubrania, jeżeliby wystąpił cokolwiek energiczniej. Tak, był stanowczo zbyt miękkim.

Halm nie posunął się wszakże tak daleko, aby zarzucić sobie tchórzostwo. Oh! byłby się niezawodnie bronił do upadku, gdyby miał rewolwer, albo chociaż nóż, lecz z gołymi rękami...

Na takich rozmyślaniach zeszała noc, która wydała się doktorowi niesłychanie długą. Wraz z brzaskiem uczony nasz opuścił swa kryjówkę i, rozejrzawszy się podejrzliwie dokoła, zaczął iść ostrożnie ku rzece, wymijając starannie koleczaste krzaki.

Z trudem niemalym zdołał nareszcie dotrzeć do miejsca, gdzie złapał owada, będącego przyczyną niemiłej przygody. Spodziewał się zastać tutaj swego konia; omylił się jednak.

— Tak, kanibale musieli go zabić, to bardzo naturalne. Bodajście się udławili! — mruczał, rozglądając się pomiędzy drzewami.

Szanownemu doktorowi nie przyszło nawet na myśl postępować śladami kopyt, dość wyraźnie wyciśniętych na zroszonej murawie; przepędziwszy większą część życia w gabinecie, nie posiadał on poza granicami swej specjalności ani odrobiny owej eudownej spostrzegawczości, która pozwala dzikim orientować się doskonale w pustyni i czytać z powierzchni ziemi, jak z otwartej książki.

Po krótkim namyśle Halm zaczął się posuwać wzdłuż prawego brzegu rzeki; miał bowiem nadzieję, że prędzej, lub później dojdzie do obozowiska karawany.

Zaledwie jednak uszedł kilkaset kroków, gdy tuż nad jego uchem rozległ się wybuch niepohamowanego śmiechu. Doktor, przestraszony, odskoczył na bok, zamierzając uciekać, ale widok Boba, który ukazał się pomiędzy krzakami, uspokoił go.

— Ha, ha, ha, ha! Pan doktor zamienił się w dzikiego! — wołał stary poszukiwacz złota, trzymając się za boki. — Jak mi Bóg miły, w dzikiego! teraz trzeba tylko trochę czarnej farby i peruki... ha, ha, ha! Panie Ablu! Panie Arturze, chodźcie no tu prędzej!

— Bój się Boga, doktorze! Co znaczy ten kostium? — krzyknął ze zdumieniem Dugan, ujrawszy naszego entomologa.

— Czy zamierzasz się pan kąpać w rzece? — dorzucił Abel, wyjeżdżając z zarośli na koniu, którego daremnie szukał doktor.

Halm stał w milczeniu pod tym gradem ironicznych zapytań, nie wiedząc, czy się cieszyć ze spotkania towarzyszy, czy też się na nich gniewać.

— Więc nie spotkaliście dzikich, którzy mnie obdarli? — zagadnął wreszcie, pragnąc położyć koniec tym niewczesnym żartom.

— Nigdzie nie widzieliśmy ani jednego murzyna, — odparł Dugan z uśmiechem. — No, ale siadaj pan na swojego konia, i wracajmy do obozu. Po drodze opowiesz nam, co cię spotkało.

Ubrano doktora w bluzę Boba, dano mu na rozgrzanie duży łyk wódki z manierki, a kiedy przyszedł cokolwiek do siebie, Abel wziął go na swoje siodło; Dugan i pastuch umieścili się podobnież na drugim wierzchowcu, i pojechano.

— No, zaczynaj-że doktorze! — rzekł podróżnik; — niezmiernie jesteśmy ciekawi, jakim sposobem wyszedłeś cało ze spotkania z ludożercami, straciwszy tylko ubranie.

Halm, daleki od ukrywania czegokolwiek, opowiedział o swojej przygodzie z naiwną szczerością, nie opuściwszy ani jednego szczegółu.

Słuchając go, Dugan, pomimo wysiłków nie był w stanie stłumić śmiechu, rozpierającego mu gwałtownie płuca; Abel i Bob zaś puścili zupełnie wodze swej wesołości.

— Ah, ah! więc oddałeś pan dobrowolnie swój kostium dzikim?! — zawołał podróżnik...

— Co? Dobrowolnie! — oburzył się entomolog. — Czyż ci przekłeci ludożercy nie zmusili mnie do tego? Mój panie, jestem pewien, że nie żyłbym już dzisiaj, gdyby nie ów dowcipny pomysł. Dzicy, otrzymawszy, czego pragnęli, pozostawili mnie w spokoju.

— Tak, rzeczywiście, to był genialny pomysł! — zawołał Dugan, kręcąc swe zamaszyste wąsy. — Winszuję go panu.

Pocziwy doktor nie podejrzewał ironii, ukrytej w tych słowach i do końca miał siebie za bohatera.

W obozie, nasz szanowny uczony ubrał się niezwłocznie w nowy garnitur nankinowy, przez co znów powrócił do utraczonej na chwilę powagi.

Od owej chwili, dał sobie jednak słowo, iż nie będzie się nigdy rozstawał z rewolwerem, aby w razie spotkania z dzikimi mógł „energiczniej” bronić swej osoby i swej godności.

(d. c. n.)

CIEKAWSZE RAKI MORSKIE.

(Dokończenie).

Wiadomo, że zwykle gąbki, używane do mycia, są to szkielety pewnych morskich zwierząt. Za młodu każda gąbka pływa sobie swobodnie w wodzie, poczem przyczepia się do dna, lub skał podwodnych w miejscowości, gdzie znajduje dość pożywienia (drobnych morskich żyjątek) i pozostaje tam do końca życia, rozrastając się z wielkim coraz bardziej. Otóż zdarza się nieraz, że młoda gąbka usadowi się na muszli, zajętej przez pustelnika. Dla niej jest to wielce dogodnym, gdyż rak przenosi ją ciągle z miejsca na miejsce i zapewnia jej w ten sposób urozmaicone i obfite pożywienie. Ale dla pustelnika taki lokator nie jest wcale korzystny; z początku wprawdzie nie ciąży on mu zbyt, ale powoli gąbka rozrasta się coraz bardziej ze wszystkich stron i obrasta nawet samego raka, tak iż traci on stopniowo możność opuszczenia skorupy i może tylko poruszać kleszczami; z czasem zaś zostaje zupełnie zamurowany i ginie z głodu. Jedynym ratunkiem dlań jest ucieczka zawczasu i pozostawienie muszli na pastwę gąbce. O inną muszlę nie trudno! Jeśli zaś który jest tak uparty, że nie chce ustąpić, wówczas sam sobie będzie winien: pozostaje w muszli, ale też ginie wkrótce!

Oprócz gąbek jeszcze i inne stworzenia wprowadzają się na mieszkanie do pustelnika, a pewien robak morski jest tak śmiały, że się osiedla wprost wewnątrz jego muszli, w najgłębszej jej części. Wyzyskuje on przytem swego gospodarza, żywiąc się resztkami jego uczty, a niekiedy nawet, gdy rak zajada jaki zbyt wielki kąssek, robak wysuwa się z muszli i zaczyna pożerać ów kawałek z drugiego końca. Czasami zaś, chcąc się wygodniej pożywić, wpija się w kąssek żuwaczkami i ciągnie go w głąb, odbierając nieraz rakowi w ten sposób całą zdobycz, a przynajmniej połowę. Dziwną jest rzeczą, że pustelnik nigdy nie stara się pozbyć tego wielce niewygodnego lokatora.

Homar, pustelnik i inne podobne do nich raki mają mniej lub więcej długie odwłoki; oprócz nich jednak znajdują się jeszcze w morzu raki o bardzo krótkich odwłokach i szerokim zwykle czworokanciastym tułowiu, zwane krabami. Znajdujemy je w wielkiej obfitości na brzegach mórz europejskich. Tak samo jak wszyscy ich współbracia żywią się trupami zwierząt morskich, oczyszczają w ten sposób wodę z gnijących odpadków, ale oprócz tego również za przykładem swych braci, bardzo chętnie chwytają i zjadają żywe zwierząt-

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNE MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

— Jest to zapewne garstka chciwych łupu bandytów i włóczęgów, łatwo ich odeprzemy — mówił do zbierającej się drużynie obronie swojej drużyny.

Ciężkie uderzenia do bramy, wdzieranie się z szaloną prawie odwagą na wały zamku i wyłomy jakie robiono w murach z przerażającą szybkością, przekonały go wkrótce z jakim ma do czynienia nieprzyjacielem. Kto żył tylko w podwórzu i bocznych skrzydłach zamkowych, miał za oreg aby odeprzeć ten nagły napad. Przygotowania jednak robiono o ile można po cichu, raz, żeby uspić uwagę napadających i pozwolić im pozostać w mniemaniu, że łatwo wejdą do wnętrza, powtóre, żeby nie zbudzić przedwcześnie i nie zatrużyć małżonki Roberta, spoczywającej w głębi swoich komnat wraz z synem.

A jeżeli uderzano do bramy i wdzierano się na mury z całą wściekłością, z nieustraszoną również odwagą rzucono z murów pociski.

Sypał się więc grad kamieni, świstały strzały, lała się strumieniami wrząca smoła, oświetlając ten nocny napad i czyniąc go podobnym do wdzierania się piekła, czyhającego na zagładę spokojnego i szlachetnego schronienia.

Lecz zarazem przy tem świetle Eisenhold poznał Siebenhausa i mimo całej siły ducha i mężstwa zadziął, bo wiedział, jaką nienawiścią pałał ów stary baron do jego młodego pana.

— Po moim trupie chyba dojdą do ich komnat! — zawołał.

I zwrócił się do załogi.

— Bracia czyż możemy nie dotrzymać słowa, poddać zamek i oddać w ręce Siebenhausa szlachetną Immergundę i jej syna?



Krab - pletwień.

— Nie, stokroć nie! — odpowiedziano, podwajając obronę.

— Zbudzić i wprowadzić podziemiami Immergundę! — zawołał.

Lecz rozkaz ten nie był potrzebnym, głuchy chrzęst rozbudził już dawno śpiącą małżonkę Hofsteina. W pierwszej chwili myślała, że to sen, wprędce jednak przekonała się

ka, odbierając je nieraz innym rakom. Wiele krabów posiada oczy umieszczone na niezwykle długich słupkach, a znaczenie tego urządzenia łatwo pojmujemy, jeśli zwrócimy uwagę na sposób, w jaki oni polują. Taki krab zakopuje się całkiem w piasek, tak że z niego wystają tylko słupki z oczami, a w pewnej odległości końce kleszczy. Kogóż mogą przerazić te sterzące z piasku pałeczki z gałką (okiem) na końcu? Ale niechno jaka rybka, lub ślimak zbliży się do nich zanadto, wysuwa się wnet para strasznych nożyc, chwytą nieuważne stworzenie, a wnet i cały krab wykopuje się, aby je pożreć.



Walka kraba z pustelnikiem, obok krab zakopany w piasku łowi robaki.

Kraby odznaczają się przebiegłością nie tylko w polowaniu, ale i w obronie przed wrogiem. Niektóre z nich nakładają sobie na grzbiet, cały zapas najrozmaitszych przedmiotów: traw morskich, gąbek, robaków żywych i martwych i pływają lub łażą z tym ciężarem. Gdy zaś rzuci się na kraba jaki drapieżnik morski, krab nastawia mu swój grzbiet i pozostawiając w jego szponach przykrycie skorupy, sam szybko umyka.

Pomiędzy krabami są gatunki lądowe; znajdujemy je wyłącznie prawie w krajach gorących, szczególnie licznie zamieszkują one wyspy Antylskie. Jedne z nich muszą od czasu do czasu wchodzić do morza, aby nabrać nowy zapas wody do skrzel; inne po kilka miesięcy spędzają na lądzie, odwiedzając wodę jedynie dla złożenia w niej jajek. Są to wszystko stworzenia przeważnie nocne, zamieszkują wilgotne gąszcze lasów; dzień spędzają ukryte między opadłymi liśćmi albo też w wykopanych przez siebie norach. Karmią się padliną lub drobnymi stworzeniami, na którą polują w nocy. Zaskoczony zniemacka na brzegu starają się umknąć do morza, a jeśli się im przeszkodzi, zakopują się w jednej chwili w piasek, wystawiając z niego ku obronie groźne swe kleszcze, które prędzej dadzą sobie odłamać, niż pozwolą się zwyciężyć.

Nadano im rozmaite nazwy: pątników, tułaczów dla zwyczaju odbywania tłumnych wędrówek do morza, gdy nadchodzi czas składania jajek. Jednego z krabów lądowych mieszkańcy Indyi wschodnich nazwali złodziejem za to, iż zjada orzechy kokosowe, które znajduje u stóp palmy. Umie on z dziwną zręcznością wynaleźć otwór, jaki znajduje się w każdym kokosie, wsuwa weń kleszcze, rozsuwa go i wydobywa zeń jądro po kawałku i zjada. Rak ten, jak i wszystkie prawie kraby, posiada mięso jadalne, to też nieraz, gdy się wybierze ze swej nory po kokosy, zostaje schwytyany i sam służy za pokarm ludziom.

B. Dyakowski.

o smutnej rzeczywistości, grożącej niebezpieczeństwem jej synowi. Pochwyliła więc dziecko i otuliwszy się wraz z nim szarym płaszczem, wbiegła na najwyższe piętro.

Zbudzone odgłosem walki służebne niewiasty, weszły przerażone do jej komnaty. Rozpacz je ogarnęła, gdy nie znalazły swej młodej pani, z krzykiem rozbiegły się po całym zamku, lecz krzyku ich nikt prawie nie słyszał, lub urągowiskiem tylko nań odpowiadał.

Jednocześnie bowiem kiedy Immergunda schroniła się na wieżycę, pękły wrzeczadze bramy zamkowej i Siebenhaus uderzył czekaniem broniącego mu przystępu Eisenholda.

Padł wierny przyjaciel i piastun Roberta, a chociaż załoga silny stawiała opór, Siebenhaus torował sobie dalej drogę czekaniem i nie zważając na walczących w podwórku,

ły, okrwawiony, straszny, wyglądający jako bóg zniszczenia i zagłady, postępował za swą pijaną czeredą.

Lecz nim wyjechał z rozwalonej bramy, kazał we wszystkich zakątkach zrabowanego zamku wewnątrz i zewnątrz murów ogień podłożyć.

A kiedy dzika tłuszcza po daremnym poszukiwaniu Immergundy i rabunku, wracała do ponurej siedziby Siebenhausa, zamek Hofstein stał w płomieniach. Huk pękających murów napełniał całe przestworze, rozlegał się wśród gór dalekiem echem i świecił olbrzymim płomieniem, jako wielka pochodnia. A kiedy biedna ludność w dolinach nad jeziorem ujrzała straszną łunę na niebie, z trwogą szeptała modlitwę, uważając na razie owo krwawe, szeroko rozlewające się światło, jako przepowiednię Bożego gniewu.



Zrobiło mu się słabo, tak iż musiał się oprzeć o pień eukaliptusa.....

szedł w głąb zamku. Ryknął jednak przekleństwem znalazłszy pustą komnatę Immergundy i kołyskę jej syna. Nakazał poszukiwania.

Ktoś widział postać niewieściami w górnych piętrach wieżycy, ale i tam śladu nawet Immergundy nie było.

Chciwa łupów tłuszcza rozbiegła się tymczasem po wszystkich zakątkach zamku, rabowano i obładowywano się kosztownościami, złotem i srebrem, wylaczano z piwnic beczki drogiego napitku i wyciągnawszy szpunt podstawiano odrazu usta, aby nie tyle ugasić pragnienie, ile nasycić gardło cudzą własnością. Sam Siebenhaus nie znalazłszy głównego celu swego napadu, kłął straszliwie i rabował bogaty skarbiec Hofsteinów, sprzęty zaś kosztowne, broń, makaty, kazał ładować na wozy, i prędko po rzuconym już moście z niemi uchodzić. Powiązane niewiasty zabierał jako służebnice, resztę niedobitków załogi wziął do niewoli, a gdy już wozy ruszyły, sam dopiero oczerniony dymem dopalającej się smo-

M I R K O.

Immergunda dostawszy się na wieżycę stanowiącą ostatni cypel zamku, nie czuła się wcale bezpieczną. Przy świetle płonącej smoły na wałach, dostrzegła na tarczach znaki Siebenhausa, to ją jeszcze większą napełniało trwogą, bo wiedziała, że baron zawsze był im niechętny i głośno tę niechęć na każdym okazywał kroku. Zadrzała więc przed jego napadem.

Dojrzała też jak całe tłumy ludzi obcych wdarły się do zamku, mimo oddalenia słyszała ich dzikie wrzaski, mogła się więc spodziewać, że lada chwila tłuszcza ta rozbiegnie się po wszystkich zakątkach i dotrze aż do niej.

— Nie, syna mego im nie oddam — zawołała.

I przyciskając jedną ręką dziecko do łona, drugą zaczęła dotykać sprzętów, znajdujących się w niewielkiej komnacie. Natrafia wtem na grubą linę w krąg zwiniętą...

— Zwycięstwo! — zawołała, i stanawszy na ławie spojrziała przez niewielkie okienko wieżycy, chcąc zmierzyć odległość jego od ziemi. Wiedziała, że wieżycy wznosiła się bardzo wysoko, a jednak gdy spojrzała w dół, zadrżała i w głowie jej zaszumiło, taką bezdenną ujrzała przepaść...

Serce jej rwało się strasznym, niewypowiedzianym bólem, ale ta przepaść czarna zdawała się jej w tej chwili jedynym zbawieniem.

— Nie byłabym godną zwać się małżonką rycerza, gdybym w chwili niebezpieczeństwa nie miała ocalić mego dziecięcia! — rzekła, dodając sobie odwagi.

Oprócz liny którą znalazła, uczuła pod nogami miękie futro, położyła więc na niem ukochane dziecko, owinęła je ową mięką skórą i przytwierdziwszy za jeden koniec liny do żelaznej kraty w oknie, drugim owiązała skarb swój najdroższy. Ręce jej drżały przy tej robocie, lzy cisnęły się do oczu, ale dodawała jej odwagi jakaś nadzieja, której dobrze określić nawet nie umiała. Gdy jednak przyszła chwila spuszczenia przytwierdzonego do liny dziecięcia, serce jej taką przepełniło się boleścią, że zdawało jej się, iż prędzej sama wraz z nim odrazu z okna rzuci się w przepaść, aniżeli się na chwilę z nim rozłączy, narażając je na tak straszne niebezpieczeństwo.

Lecz głosy wrzeszczącej tłuszczy coraz więcej do jej uszu dochodziły, zdawało się jej, że słyszy już kroki na schodach prowadzących do wieżycy... nie było więc chwili do stracenia...

— Bóg niechaj cię ma w świętej swojej opiece — zawołała i poczęła spuszczać linę z przywiązaniem do niej dzieckiem.

Blask wiosennego poranka, złocił już nieco oddalone gór szczyty i ostatnie cienie nocy prowadziły walkę z pierwszymi promieniami słońca, gdy Immergunda uczuła, że drogi jej ciężar oparł się o ziemię... Zdawało jej się nawet, że głos jakiś usłyszała, byłże to głos przyjaciela lub wroga?... Odechodziła prawie od zmysłów, wysunawszy się przez wązkie okno, poczęła się spuszczać po tejże samej linie...

Jak długo trwała ta jej śmiała, lecz niebezpieczna podróż, zdać sobie sprawy nie mogła. Gdy otworzyła oczy ujrzała snop światła złoćący zieloną murawę i dziecko swe, jedynego swego Berehta, uśmiechającego się pod osłoną ze skóry, w którą go owinęła.

— Dziecię moje, synu jedyny — zawołała, tuląc go w swoich objęciach i nie zdając sobie sprawy, jakim sposobem się tu znalazła, poczęła okrywać pocałunkami dziecko.

Szmer jakiś zbudził ją z tego upojenia, nagle stanęło jej przed oczyma tylko co przebyte niebezpieczeństwo, i osłoniła dziecko, postanawiając bronić je póki jej życia starczy. Lecz jakież było jej zdziwienie gdy ujrzała przed sobą młodziutkiego, wiernego swego giermka Bógumira, Mirkiem zazwyczaj zwanego.

— Pani — zawołał chłopiec, podając w płaskim, wyłożonym kamieniem nieco wody — odwilż usta i skronie, przebyte trudy i niebezpieczeństwo, musiało ci bardzo siły wyczerpać.

Immergunda nie wierzyła prawie oczom swoim.

— Ale jakimże sposobem znalazłeś się tu Mirku? — rzekła, orzeźwiwszy się nieco podaną sobie wodą.

— Biegłem aby was przestrzedz o niebezpieczeństwie i wprowadzić w podziemia, gdy postać wasza mignęła mi w górze na schodach. Za mną pędził tłum rozszalałych zbójców, więc z obawy aby im nie wykryć waszego schronienia, skręciłem w bok i obiegłem zamek, dostałem się w ten parów u stóp wieżycy... Tu przemyślałem jakby was ratować... wspinając się w górę po gałęziach sosen rosnących na wale, chciałem wam powiedzieć, że u żelaznego skobla przy oknie, przymocowana jest zawsze gruba lina, po której można się tu spuścić na wypadek gdyby w czasie oblężenia niemożna było w inny sposób uchodzić z zamku...

— Prawdziwe zrzęczenie Boże, że cię tu zastałam — rzekła składając ręce jak do modlitwy Immergunda. — Ale krew ci się sączy z twarzy, jesteś raniony biedny chłopcze...

— To nic, zadrasnęła mię tylko strzała tych rozbójników — odparł giermek zrywając garść liści, które przyłożył chciał do rany, ale nie dopuściła tego pani zamku, obmyła mu sama krew zapiekłą i przewiązała czoło cienką lnianą chustką, którą miała przy sobie.

Zadrażnienie było dość głębokie i sprawiało ból silny, lubo Mirko do tego się nie chciał przyznać.

— Dzięki wam o pani — rzekł, doznawszy ulgi — Teraz raźniej mi przyjdzie służyć wam w dalszych przygotowaniach, bo przecież nie możemy tutaj pozostać. Szczęśliwy jestem już teraz niewymownie, że sprawdziło się to o czym marzyć śmiałem jedynie, powodowany rozpaczą, że nie ma dla was innego środka ratunku... Bo czyż to nie cud łaski Bożej, że znaleźliście linę i mieliście odwagę do podobnej ucieki się przeprawy... Przemyślałem jak wam dać znać o tem, gdy nagle wśród ciemności ujrzałem cień wasz w oknie... Począłem wołać, nie usłyszeliście mego głosu, ale wkrótce przy brzasku dnia ujrzałem spuszczącą się linę. krzyknąłem raz jeszcze, ale znowu głos mój was nie doszedł. lina tymczasem się spuszczała, i wreszcie pochwyciłem ciężar, w którym domyśliłem się waszego syna, podniosłem ręce ku górze, lina coraz więcej się wydłużała i oto udało mi się pochwycić dziecko, które nie wiedziało w jak niebezpiecznej znajduje się kołysce.

— Ach, więc mój Bereht, mój skarb jedyny, został przez ciebie ocalony — zawołała Immergunda.

— Wyście go sami ocalili odwagą i przytomnością waszą — odparł żywo Mirko, ale pomimo to, rozrzewniona matka powtarzała słowa dziękczynne, tuląc budzące się dziecko.

(d. c. n.)

GÓRY ŚPIEWAJĄCE.

Góry śpiewające! Jakże dziwnie brzmi ta nazwa, a jednak nad brzegiem rzeki Columbia w Ameryce, znajdują się góry do których zastosować się daje. Wedle opowiadań uczonych, którzy pierwsi zajęli się opisaniem tego zjawiska natury, w Chili, w prowincyi Coquimbo niedaleko miasta Copiapo, wznosi się góra niezbyt wysoka, zwana przez krajowców *El bramador*, z powodu odgłosu a raczej jakby głuchego ryku wychodzącego z jej wnętrza.

Zdaniem jednego ze sławnych przyrodników angielskich, który na miejscu fenomen ten badał, przyczyną jego jest tarcie się pod stopami ludzi i zwierząt ziarenek piasku, którym góra pokryta, a może skutkiem drgania gruntu, stacza się on drobnym pyłem wzdłuż wybrzeży na równinę. Wśród jeziora Piramid niedaleko rzeki Truckee w Nowadzie, wznosi się druga ciekawsza może jeszcze góra śpiewająca, gdyż odgłos jaki wydaje, choć przerywany, ale bywa więcej melodyjnym. Zależnie od siły wiatru i różnych warunków atmosferycznych, słychać najpierw jakby srebrzysty dźwięk całych setek dzwoneczków. przybiera to stopniowo rozmiary jakby symfonii wykonywanej na organach, a wreszcie nastaje cisza.

Dowodzono, że fenomen ten jest także następstwem poruszania się piasku na powierzchni góry. Większe przestrzenie piaszczyste posiadają niewątpliwie pewne określone własności muzykalne. Któż nie słyszał o głosach wychodzących z pustyni? W Chinach pustynia Lob-nor jest wedle świadectw kronikarzy pełną harmonijnych dźwięków. W Manchester de la Mer, w Massachuset, napotykają się wybrzeża śpiewające, a piaski w Eigg na Hebrydach, zarówno jak piaski około Bornholm w Danii, wydają również dźwięczne odgłosy.

CUADOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D

(Ciąg dalszy).

Może w dwadzieścia minut po wyjściu z hotelu Excelsior, Yankes przystanął na rogu nowej ulicy i rzekł do towarzyszy:

— Znajdujemy się teraz panowie, przy trzeciej ulicy naszego miasta, a mamy ich około setki; ta jednak, która się ciągnie przed nami, jest jakby tutejszą Broadway lub Regentstreet, albo też waszemi Bulwarami włoskimi. W magazynach tych, w bazarach raczej, znaleźć można wszystko, od rzeczy najskromniejszych do przedmiotów zbytku. Co tylko wynalazł przemysł, co żądać może byt dostatni troszczący się jedynie o zaspokojenie wygody w to wszystko zaopatrzyć się tu można bez trudu.

— Widzę piękne wystawowe okna magazynów, ale zdaje mi się, że kupujących brak tam zupełnie — robi uwagę Ponchard.

— Może to jeszcze zbyt wczesna godzina — poddaje Yvernes.

— O bynajmniej — zapewnia Kalikstus — pochodzi to ztąd jedynie, że zamówienia wszelkie załatwiają się u nas za pośrednictwem telefonów, a nawet telautografów...

— Co to ma znaczyć? — pyta Francolin.

— To znaczy, że używany tu powszechnie telautograf jest przyrządem, który przenosi pismo, jak telefon podaje słowa, jest on nadto połączony z kinetografem, który notuje ruchy piszącego i jest tem dla oka czem fonograf dla ucha. Wraz z nim funkcyjony telefot przesyła obok pisma, notowania ruchów i podobiznę działającego. Połączenie tych przyrządów daje możność przesłania depeszy z zupełną gwarancją zarówno dla wysyłającego, jako też odbiorcy, stawiając tamę wszelkim w tym kierunku popełnianym nadużyciom. Zwykliśmy też tutaj załatwiać za pomocą siły elektrycznej, nietylko sprawy osobiste, ale równie dobrze społeczno-państwowe.

Rozmawiając tak dalej, podróżni doszli do dziewiętnastej alei miasta, z kął już wszelki handel jest usunięty. Wozy i ekipaże toczą się po ulicy cicho i z błyskawiczną szybkością, nie poruszając ani pyłka z ziemi, gdy bruk uliczny, układany przeważnie z taffi brazylijskiego mahoni, ma czystość i połysk pięknie zafroterowanej posadzki. Obserwujący wszystko z nadzwyczajną bystrością Francolin, czyni też spostrzeżenie, że bruk ten pod stopami idących, wydaje dźwięki podobne do lekko potrąconej płyty metalowej. Zdziwiony tem, skierował się już do uprzejmego przewodnika, by go prosić o objaśnienie, gdy tenże równocześnie:

— Proszę panów zwrócić uwagę na ten dom, ten pałac raczej — zawołał, wskazując gmach wspaniały, którego środkowa część, zdobna w bogate rzeźby z marmuru, usuwa się nieco w tył, pawilony zaś zakreślając piękny dziedzińiec, połączone są misternie wyrobionemi sztachetami z jasnego, jak srebro aluminium.

— Pałac ten — ciągnął dalej Kalikstus Munbar — należy do jednej z najznakomitszych rodzin naszego miasta. Właściciel jego, Jem Tankerden, jest posiadaczem niewyczerpanych źródeł naftowych w Stanie Illinois...

— I milionowej fortuny — kończy Sebastyan.

— Ba — odpowiada Kalikstus — u nas miliony są cyfrą bieżącą, setki milionów nie dziwią tu nikogo. Gród nasz, to siedziba samych bogaczy, Nababów tej półkuli. Tem się też tłumaczy, że kupcy, którzy tu przebywają, po kilku latach dorabiają się znacznych fortun, chociaż nie ma-

my tu innego handlu, prócz detalicznego; hurtowników lub agentów handlowych nie spotkają panowie na tym w wyjątkowych warunkach zostającym kawałku ziemi na świecie,

— A przemysłowcy? — pyta Ponchard.

— Również nieobecni.

— A wojsko i zbrojna flota?

— I tej nie posiadamy wcale.

— Więc przeważnie żyją tu kapitaliści.

— Przeważnie, a nawet jedynie prócz kupców, którzy są na drodze składania kapitałów.

— Potrzebujecie jednak rąk do pracy, muszą więc być i robotnicy — zauważył Yvernes.

— Gdy się robotą jaka przedstawi, sprowadzamy robotników i rzemieślników ile ich potrzeba, lecz po ukończeniu zadania wracają wszyscy do siebie, uwożąc sute wynagrodzenie.

— Przyznaj pan jednak, panie Munbar — mówi Francolin — że macie trochę biednych, chociażby dla tego, aby ten rodzaj ludzi nie zaginął na świecie...

— Proszę mi wierzyć, że nie spotkasz tu pan ani jednego żebraka.

— Więc żebractwo jest tu prawem wzbronione?

— Nie okazała się nigdy potrzeba takiego prawa, dla tej prostej przyczyny, że żebracy nie mają tu możliwego wstępu. Rzeczy takie, moi panowie, dobre są dla miast Stanów Zjednoczonych z ich domami schronień, przytułków i moralnej poprawy, jakich tam pełno.

— Więc utrzymujesz pan może, że i więzień tu niema?

— A poco więzienia, gdy więźniów brakuje.

— To cóż robicie z przestępcami?

— O, tych prosimy, by sobie zostali na lądzie stałym Starego lub Nowego Świata, gdzie powołaniu ich szersze przedstawia się pole do działania.

— Naprawdę panie Munbar — mówi Sebastyan — słysząc pana możnaby sądzić, że nie jesteście tutaj w Ameryce.

— Byłście tam wczoraj panowie — odpowiada szczegółny Cicerone.

— Wczoraj? — pyta zdziwiony Francolin, nie umiejący wytłumaczyć sobie zagadkowej mowy Yankasa.

— Bezwątpienia! Dziś jesteście już w mieście, które istnieje samo dla siebie i własnymi siłami...

— A które wreszcie jak się nazywa? — pyta Sebastyan, u którego burzliwość temperamentu zaczyna się już objawiać.

— Pozwólcie panowie, że o szczególe tym zamilczę jeszcze teraz...

— Więc kiedyż ostatecznie będziemy mogli się dowiedzieć?

— Gdy już poznacie miasto całe, czem oddacie mu hold najwyższy — zapewniał z wyszukaną galanterią zagadkowy Yankes.

— Tajemniczość ta jednak, mimo wszystkiego, zbyt cnie znowu nie intryguje Paryżan, przed południem prawdopodobnie skończą już tę ciekawą bądź co bądź, przechadzkę, i gdyby nazwa miasta miała im być oznajmioną dopiero w chwili odjazdu, i to ich zadowolni w zupełności. Mimo tego, godnem zastanowienia przedstawia się im fakt, że miasto tak znaczne, które jak się zdaje, położone jest na wybrzeżu kalifornijskiem, nie ma nalyżec do republiki Stanów Zjednoczonych; również i to jest niezrozumiałe, jakim sposobem dotychczas nie posłyszeli w swych podróżach wzmianki najmniejszej o jednym z bogatszych i wspanialszych miast tych krajów. Nezadługo jednak zasięgną wiadomości pewnych, chociażby już w San Diego, jeżeli Kalikstus Munbar do ostatniej nawet chwili zechce zachować dziwną swą tajemnicę. Osobistość ta szczególna, okazawszy tak wyraźnie, że nie życzy sobie być więcej badaną, oddała się znowu wymownemu opisywaniu ciekawych rzeczy, które się przedstawiały na każdym niemal kroku.

— Jesteśmy teraz na trzydziestej siódmej alei, panowie! Spójrzcie tylko proszę, na tę wspaniałą w swym rodzaju perspektywę, która się otwiera przed nami! W dziel-

nicy tej nie spotkamy, również jak w poprzedniej, magazynów ani bazarów, ani też owego ruchu ulicznego, który jest znamieniem charakterystycznym miast handlowych. Mimo tego nieszczęsą się tu fortuny mniej już znaczne niż przy dziewiętnastej alei; są to przeważnie kapitaliści o dochodach mniej więcej od dziesięciu do dwunastu milionów...

— Toż to dopiero nędzarze! — wtrąca Ponchard, ze znaczącym wydeciem ust.

— Ha, mój panie! zawsze na świecie ktoś może być ubogim w porównaniu z kimś drugim. Milioner ma się za bogatego w stosunku do tych, którzy rozporządzają tylko setkami tysięcy franków, a przestaje nim być względem kogoś, który posiada setki milionów!

Wielokrotnie już artyści nasi mogli zauważyć, że mówiąc wiele, przewodnik ich najczęściej jednak powtarza słowo „miliony”. Wymawia je nawet z pewną lubością, z akcentem metalicznym nieledwie. Zdawałoby się, że odbija te sztuki złota samem mówieniem o nich, i jeżeli to nie są brylanty, które się sypią z ust jego, jak owej dziewczeczce z bajki, dar cenny wróżek, jej chrzestnych matek, to już koniecznie winny to być dukaty, tak, zda się dźwięczy złoto w ustach jego.

Tymczasem Sebastyan Vaillant, Ponchard, Francolin i Yvernes idą coraz dalej ulicami tego nadzwyczajnego miasta, którego położenie geograficzne jest im dotąd nieznanne. Przechodniów spotykają mnóstwo, ruch tu jest znaczny, lecz ubrania wszystkich są dostatnie, wykwintne nawet, nie razi tu oka łachman lub nędza jakakolwiek. Liczne też kursują wagony, powozy i wielikuly wszelkiego rodzaju, a wszystkie wprowadzane w ruch siłą motoru elektrycznego. Prawdziwe jednak pojazdy, to jest powozy ciągnięte końmi widzieć jedyną można w dzielnicach najbogatszej.

Na niektórych główniejszych ulicach, chodniki wprawiane w ruch za pomocą długich łańcuchów, posuwają się naprzód wraz z pasażerami, którzy stojąc rozmawiają lub przechadzają się tam i z powrotem, jakby się znajdowali na pokładzie statku lub w wagonie salonowym kolei żelaznej.

— Otoż i świątynia jakaś — zawołał Francolin, wskazując budynek ciężki i bez żadnego stylu architektonicznego, coś w rodzaju tych, które w Sabaudyi robią z ciast i cukrów na podstawie szmaragdowo zielonej.

— Jest to świątynia protestancka — objaśnia Kalikstus Munbar.

— Lecz znajdują się w waszem mieście i kościoły katolickie? — pyta Yvernes.

— Bezwątpienia, gdyż muszę objaśnić panów, że jakkolwiek jest tu wyznań różnych tak wiele, ile ich tylko znaleźć można na kuli ziemskiej, jednak katolicyzm i kalwinizm przeważa liczebnie wszystkie. Pod tym względem, jak pod wielu innymi, różnimy się od Stanów Zjednoczonych, które rozdzielały zapatrywania religijne, jeżeli nie różność zdań politycznych. Tam-to spotkać można tyleż wyznań, ile jest rodzin nieledwie; są więc metodyści, anglikanie, presbyterianie, anabaptyści, weslejanie, zresztą któż je wyliczyć zdoła, a wszystkie względem siebie nieprzyjaźnie usposobione. Tutaj wolni jesteśmy od tej plagi, mając spokojnych kalwinów i wyznawców w rzymsko katolickiego kościoła.

— A jaki język jest tu panujący? — pyta Francolin.

— Zarówno dobrze mówimy po angielsku jak i po francuzku — objaśnił Kalikstus.

— Powinszować panom — wtrąca żywo Ponchard.

— Miasto też nasze — ciągnie dalej Amerykanin — podzielone jest na dwie sekcye równoważne. Tutaj jesteśmy w seceji albo części...

— Zachodniej, zdaje mi się... — dokończa Francolin, orientując się według położenia słońca.

— Niechże będzie zachodnia, jeżeli to panu może być przyjemne.

— Jakto, jeżeli mi to może być przyjemne? Czyżby strony świata tutaj zmieniały się wedle upodobania każdego — zawołał skrzypek zdumiony odpowiedzią Yankesa.

— Tak i nie — odpowiada Kalikstus — wytłomaczę to panom później, tymczasem wracam do tej sekcji... zachodniej, według zdania pana, a zamieszkałej przez protestantów, którzy nawet tutaj pozostali ludźmi praktycznymi, podczas gdy katolicy inteligentniejsi, lecz i więcej wybredni w swych upodobaniach, zamieszkują sekcję drugą. Świątynia ta zatem jest kościołem kalwińskim.

— Styl jej ciężki bardzo wyraźnie o tem mówi — zauważył Yvernes. — Może niesłusznie, ale zawsze zdaje mi się, że modlitwy idące z takiego kościoła nie wznoszą się zbyt wysoko do nieba, lecz podobnie jak jego mury, pełzają po ziemi, przynięcione do niej nieledwie.

ROZCZAROWANIE KWARTETU.

Po długiej, parogodzinnej przechadzce dozwolonem jest bodaj każdemu pewne uczucie głodu, to też nasi artyści nie czynią tu wyjątku, a zgadza się z nimi najzupełniej i Kalikstus Munbar; postanawiają więc wszyscy jednomyślnie posilić się dobrem śniadaniem. Czy koniecznem jest jednak wrócić do hotelu Excelsior? Bezwątpienia, w mieście tem bowiem, gdzie każdy mieszkaniec ma wygodny, we wszystko zaopatrzony dom własny, a ciekawych turystów z dwóch pół kul świata tak mało, niema prawie żadnych cukierni lub restauracji.

W kilka minut wagon elektryczny przebywa wraz z naszymi podróżnymi przestrzeń, dzielącą ich od wspaniałego hotelu pana Munbara, gdzie też niebawem zastawiają im sute i doskonale śniadanie; tworzące sprzeczność uderzającą z owemi licznymi potrawami, podawanemi według mody amerykańskiej, w których jednak ilość nie wynagradza jakości. Wyborna jest tu pieczeń wołowa i barania, miękie i soczyste pulardy, pobudzające apetyt świeżością swoją ryby, a zamiast zimnej wody, jaką podróżny pić musi w restauracjach Stanów Zjednoczonych, kwartet ma tutaj do wyboru różne piwa, i wino, które ciepłe słońce Francji ogrzewało dziesięć lat temu w okolicach Médoc i Burgundyi. Do śniadania takiego zbytecznym jest zapraszać wiele, zwłaszcza, jeżeli uczciją dobrym cieszą się apetytem; to też Ponchard i Francolin zarówno jak Sebastyan Vaillant i Yvernes oddają mu należne honory, zającując wszystko z gustem wielkim. Uprzejmy gospodarz nie ustępuje w niczem swym gościom, zabawiając ich nadto świetnym swym humorem.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Córka Emina-baszy (z drzew.) — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Ciekawsze raki morskie (z drzew) dołączenie p. B. Dyakowskiego. — Górskie zameczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską. — Góry śpiewające. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Prima-aprilis Jasia, komedyjka w jednym akcie p. Nagodę. — Pogadanka z wujaszkiem p. M. D. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-ss Molesworth. — Łami-główki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE.



Prima-aprilis Jasia.

Komedyjka w 1 akcie
przez **NAGODE**

OSOBY.

JAŚ
AŃDZIA } *rodzeństwo.*
KAROLEK }
STAŚ, *ich krewny.*

SCENA I.

JAŚ, AŃDZIA I KAROLEK.

JAŚ. Słuchajcie, macie wy dobrą pamięć?

AŃDZIA. Ja mam wyborną.

KAROLEK. Mnie się tylko łacina głowy nie trzyma.

JAŚ. Ej, kto tam o łacinie myśli, ja ci się pytam, czy pamiętasz, jak Staś rok temu wyprowadził nas w pole?

AŃDZIA. O, pamiętam, jak to się przebrał za jakiegoś starego jegomościa i przyszedł do nas niby oglądać mieszkanie.

KAROLEK. Które wcale nie było do wynajęcia, bo myśmy tak tylko wywiesili kartę, na prima-aprilis.

AŃDZIA. A, pięknie się nam udało, niema co mówić, tak nastraszyliśmy tego jegomościa.

JAŚ. Otóż ja przyrzekłem sobie, że tego roku odwiedzę się Stasiowi i ja jego znowu wyprowadzę w pole, ale to tak porządnie!

KAROLEK. Nie tak to łatwo ze Stasiem, to sprytna sztuka.

JAŚ (*z przesadą*). Aha, sprytna! ale trafiła kosa na kamień! Zobaczmy, który z nas sprytniejszy. Wy tylko pamiętajcie, gdy on tu przyjdzie po tę książkę dla cioci, w niczem nie sprzeciwiać się moim słowom: najlepiej milczcie i kiwajcie tylko głowami, a ja już sobie dam radę. (*słychać dzwonek*).

AŃDZIA. Może to on?

JAŚ. Z pewnością. O zakład, że ja go nietylko wyprowadzę, ale nawet wywiozę w pole, tak się przejedzie, aż miło!

SCENA II.

Ciż SAMI. STAŚ.

STAŚ (*wchodząc*). Jak się macie! co słychać u was?

JAŚ. O, słychać wielką nowinę! Stryjcio Kazio przyjeżdża!

STAŚ (*z radością*). Doprawdy? Kiedy?

JAŚ. Teraz, zaraz! popołudniowym pociągiem. I nawet telegrafował, żeby który z nas po niego na kolej wyjechał, bo ma strasznie dużo pakunków, ale rodzice powiedzieli, że my jeszcze nie umiemy sobie dać rady, więc nie będziemy stryjowi żadną pomocą, i kazali tobie powiedzieć, żebyś ty pojechał.

STAŚ. Ależ wyjadę, z największą przyjemnością. (*Nagle spogląda podejrzliwie na Ańdzię i Karolka, którzy nie mogą wytrzymać, duszą się od śmiechu. Do Ańdzi*). Więc wujcio do was telegrafował?

AŃDZIA (*kiwa głową*).

STAŚ (*patrząc przenikliwie na Karolka*). Kiedy nadszedł telegram? dziś?

KAROLEK (*kiwa głową*).

JAŚ (*skwapliwie*). Przed godziną.

STAŚ. Dlaczegoż mi Karolek nie odpowiada, tylko ty?

JAŚ. O, bo on... bo on... jego nie było właśnie w domu, ale telegram czytali on i Ańdzia.

STAŚ (*spogląda na zegarek*). Kiedy tak, to trzeba się zaraz wybierać, pierwsza dochodzi.

JAŚ. Pewnie na kolej pojedziesz tramwajem, a z powrotem to może piechotą (*opamiętując się*). To jest chciałem powiedzieć, z powrotem razem ze stryjem dorozką.

STAŚ (*dobrodusznie*). Tak, naturalnie, powrócę razem ze stryjem. No, idę już, do widzenia! (*idzie ku drzwiom, nagle uderza się w czoło*). Ach mój Boże, zapomniałem na wieki! szkoda, że się tak złożyło.

JAŚ. Co takiego?

STAŚ. Ej, nie ważnego, ale zawsze szkoda, bylibyśmy się zabawili.

AŃDZIA I KAROLEK. Zabawili? jakim sposobem? kiedy?

STAŚ. Bo to mama przysłała mnie tu właściwie z pytaniem, czy już umiecie wszystkie lekcje na jutro?

JAŚ. A jeżeli umiemy, to co?

STAŚ. Jeżeli umiecie, to miałem wprost stąd pójść do kasy teatralnej i wziąć łożę na dzisiejsze przedstawienie, mama byłaby z nami wszystkimi poszła na Twardowskiego.

AŃDZIA (*z radością*). Do teatru, o co za szczęście!

KAROLEK. Ja tak marzyłem o tem, żeby dziś być w teatrze.

STAŚ. I ja miałem wielką ochotę, ale cóż zrobić? kiedy się tak złożyło, to trzeba odżalować.

JAŚ. Jakto „odżalować” dla czego?

STAŚ. No, naturalnie! skoro mam jechać na kolej po stryjcia, to nie mogę iść do teatru po łożę, a zresztą nie wypada, żebyśmy szli do teatru, gdy stryjcio do nas przyjedzie.

AŃDZIA (*do Karolka*). A to się nam Jaś przysłużył swoim prima-aprilis.

KAROLEK. Jego koncepta to zawsze takie mądre; i jeszcze nam nie pozwala nic mówić, tylko głowami kiwać!...

JAŚ (*znieszany*). Ależ... Stasiu... możeby to się dało jeszcze pogodzić jedno z drugim.

STAŚ. Ale nie wypada w żaden sposób; nie zatrzymujcie mnie, bo się spóźnię. (*Chce iść ku drzwiom*).

JAŚ (*chwyla go za rękaw*). Stasiu, czekaj!

STAŚ. Nic nie czekam, za kwadrans pociąg przychodzi. (*wyrywa się*).

KAROLEK (*do Jasia*). Słuchaj, przecież nie możemy stracić teatru.

AŃDZIA. Jabym ci tego nie darowała:

JAŚ. Stasiu... bo widzisz... stryjcio może nawet nie przyjedzie.

STAŚ (*stanowczo*). Dla czego nie przyjedzie? telegrafował, z pewnością przyjedzie.

JAŚ (*zdecydowany*). Kiedy to wszystko, to było tylko prima-aprilis.

AŃDZIA I KAROLEK. Tak, prima-aprilis.

STAŚ (*udając zdumienie*). Jakto, prima-aprilis? ach, prawda, że to dziś pierwszego kwietnia, zapomniałem kompletnie.

JAŚ (*z dumą*). A widzisz, obiecałem ci przeszłego roku, że cię zwiódę i udało mi się kapitalnie.

KAROLEK. Piramidalnie! ale teraz niech Staś prędko idzie do kasy, bo później łoży nie dostanie.

STAŚ. Za pozwoleniem, ja mam wpierw wysłuchać waszych jutrzejszych lekcji, żeby się przekonać, czy je umiecie.

(d. n.)

POGADANKA Z WUJEM.

KOZA.

— Wie wujaszek! Wracając dziś z babunią z kociółką, zobaczyłem przy karczmie dwie kozy, które niby próbowały siły i twardości swych łebków; zatrzymaliśmy się trochę, by im się przypatrzeć; gdyby też wujaszek był widział jakie one zabawne, aż babunia się śmiała!... Póki stały spokojnie, wyglądały jakoś poważnie, z długą brodą i mądrym spojrzeniem, ale gdy zaczęły jedna na drugą nacierać, to zupełnie, jak dwóch chłopców moczujących się z sobą...

— Widzę, że ci się kozy bardzo podobały, mój Władku?

— O, bardzo, proszę wujka! wolę je przecież od dowolnych, ślamazarnych owiec, tamte zwierzątka takie wesołe, że sam miałbym ochotę pobawić się z niemi, ale się trochę bałem ich rogów dumnie, wyzywająco w tył wygiętych. Babcia mówiła, że uderzając na mnie, mogłaby mię taka kózka na ziemię przewrócić, bo ma być mocną i zręczną...

— Rzeczywiście, koza należy do najzwawszych i najruchliwszych ze wszystkich zwierząt domowych. Wesołość i ciekawość są głównymi rysami jej charakteru, przytem jest dość inteligentną; idąc, chociażby w gromadzie, zachowuje świadomość tego co robi, okazuje dobrą pamięć, dużo woli samodzielnej, a niekiedy nawet upor.

— Gdy patrzałem tam na nie, myślałem sobie ciągle, jakim sposobem owca i koza mogą być blisko pokrewne, kiedy tak całkiem inaczej się przedstawiają.

— A jednak wytłomaczyłem ci to już w poprzedniej naszej rozmowie, jak wiele wspólnych cech mają te dwa gatunki naszych zwierząt domowych; największą tu różnicę stanowi bodaj ta odmienność usposobienia, którą sam zauważyłeś.

— Czemu to jednak u wujaszka nie widać po stajniach, ani jednej kozy, czy wuj ich całkiem nie lubi?

— W gospodarstwie, mój Władziu, nie możemy zważać na to, co nam przyjemność robi, lecz co większy przynosiżytek.

— To kozy mniej od owiec są użyteczne?

— Wiele mniej nawet; z owcy mamy jak widziałeś

korzyści najróżnorodniejsze, gdy kozy tymczasem prze-
ważnie tylko dla mleka trzymane są po małych gospodar-
stwach.

— A czy kozie mleko jest dobre?

— Mniej smaczne od krowiego, ale ma być bardzo
pożywne i zdrowe, że zaś utrzymanie tych zwierząt jest
niekosztowne, więc uboga ludność, szczególnież żydow-
ska chętniej je hoduje, aniżeli drogie stosunkowo krowy.
Dwie też kózki które widziałeś przy karczmie są własno-
ścią tutejszego pachciarza.

— Czy z długiej i prostej wełny koziej nie ludzie
robić nie mogą? — pytał ciekawy Władzio.

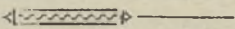
— Z naszej kozy domowej wełna jest dość twardą
i mało ciepłą, są jednak pewne gatunki mające włos bar-
dzo cienki i jedwabisto mięki, np. kozy kaszmirskie i ty-
betańskie, żyjące w Azji. Z włosa tych zwierząt wyra-
biają tam ludzie tkaniny prześliczne, jak wspaniałe i nad-
zwyczaj cenne szale perskie, tybety i t. p.

— A dużo jest jeszcze odmian kóz dzikich, proszę
wujka?

— Bardzo wiele; oprócz tych, które ci już wymie-
niłem, wspomnę tylko jeszcze o pięknym gatunku „kozła
skalnego”, żyjącego, jak wszystkie te zwierzęta w stanie
dzikim, wśród, niedostępnych prawie dla człowieka, skał
najwyższych gór. W Szwajcaryi śliczne to stworzenie,
staje się jednak coraz rzadsze, tak bowiem zawzięcie
amatorzy myśliwi tępią je mimo niebezpieczeństwa, na jak-
ie ich wyprawy podobne narażają. Odmienny już gatu-
nek stanowi rodzina „antylop”, żyjących w małych stad-
dach w krajach stref gorących; w Tatrach zaś w Szwaj-
caryi i Tyrolu znane są kozice i gemzy.

Z licznych odmian tych wyjątkowo zręcznych zwie-
rząt najciekawszym, chociaż mniej ładnym okazem jest
„antylopa gnu”, której tułów przypomina konia, łeb krowę,
kozę zaś jedynie wysmukłe i zgrabne nóżki.

Do przeżuwających i dwukopytnych lecz już o ro-
gach pełnych, gałęzistych, tak jak u naszych jeleni i łosi,
należy daleko od nas, bo aż w Syberyi hodowany jako
zwierzę domowe „ren czyli renifer”. Jest to stworzenie
stref zimnych, dające tam człowiekowi więcej jeszcze od
naszej owcy, bo oprócz mięsa, mleka, skór, łoju i t. d.
służy mu nadto jako zwierzę pociągowe wśród nieprze-
bitych płaszczyn śniegowych.



OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

NIEFORTUNNY POMYSŁ.

Józio tak zaczął:

— Opowiem wam o muszce, maleńkiej muszce, któ-
ra miała swój dom w rogu okna. Kiedy było pięknie
wychodziła na spacer na szybę, był to jakby jej ogród.

Podczas niepogody pozostawała w swoim kąciku. Jedne-
go dnia gdy się jak zwykle przechadzała po szybie, do-
strzegł ją chłopczyk taki niegodziwy, że zaraz powiedział
głośno, że ją złapie i poobrywa jej skrzydełka, aby mu
uciec nie mogła. Ale w tejże samej chwili ktoś go
uchwycił z tyłu za ręce i grubym głosem zawołał: —
Jeżeli będziesz obrywał skrzydełka muchom, ja ci ręce
powyrywam i ten ktoś tak był silny, tak mocno go przy-
trzymał, że nie mógł się nawet odwrócić. Chłopczyk
począł krzyżeć. Puść mnie, puść proszę, już nigdy nie
dotknę się muchy.

Błagania jego wysłuchane zostały. Obrócił się co-
prędzej, ale nie zobaczył nikogo. Wielkie jego było
zdziwienie, a większa jeszcze radość muszki, gdy mogła
swobodnie odlecieć.

Tomcio dopytywał się z zajęciem: Kto zaszedł tak
chłopczyka?

— Nie wiem — odpowiedział Józio zakłopotany —
może był to olbrzym, a może tatuś chłopczyka chciał go
nauczyć, że się nie powinno męczyć zwierząt.

— Jeżeli to był jego tatuś, w takim razie twoja po-
wiastka bardzo pospolita — zarzucił Tomcio z lekcewa-
żeniem.

— Więc przypuścmy, że to był olbrzym — odrzekł
pospiesznie Józio. — Jeżeli chcecie opowiem wam historyę
o samych olbrzymach i ludojadach, coś strasznego!

— Dziękuję, twoje historye mnie nudzą — odrzekł
Tomcio.

— Kiedy tak, nigdy ci ich nie będę opowiadał —
odezwał się Józio bardzo urażony — opowiem je wszyst-
kie Zosi, a tobie wcale słuchać nie pozwolę.

— Ach! doprawdy? — odparł Tomcio. — Radziłbym
ci nie wyprawiać awantur przy naszej nowej niani, bę-
dzie ona bardzo zła i zaraz cię ukarze surowo.

— Tomciu — zawołałam — nie sprzeciwiaj się pro-
szę, Józiovi.

— Ja mu się wcale nie sprzeciwiam, tylko prawdę
powiadam. Równie to przykre dla nas, jak dla niego, ale
słyszałem, jak pani Gertruda mówiła do stryja, że trzeba
dla nas kogoś bardzo surowego. A bardzo surowy wszak
to samo znaczy, co bardzo zły.

Józio się nachmurzył.

— Nie myślmy o tem, drodzy moi, skoro nic nie po-
radzimy — rzekłam z westchnieniem.

Wejście Sary przerwało naszą gawędkę. Nakrywa-
jąc do stołu zaczęła z nami rozmawiać.

— Uprosiłam dla was trochę konfitur — oznajmiła
poczeiwa kobieta.

Braciszkwowie poczęli klaskać w ręce na widok słoika
z wiśniami, pływającemi w przezroczystym syropie. By-
łam zanadto oburzona na panią Gertrudę, aby słodki jej
dar mógł mnie z nią pojednać, ograniczyłam się na wyra-
żeniu mej wdzięczności Sarze. Ta odpowiedziała:

— Czyż nie zasłużyliście na nagrodę biedne moje
koteczki. Nie pojmuję, jak można jeszcze na was wy-
rzekać, toć cicho się jak myszki sprawiacie.

Odważyłam się zaczepić ją o przyszłą naszą dozorc-
zynię.

— Pani Gertruda ma już kogoś upatrzonego — po-
wiedziała. — Zdaje mi się, że czeka na odpowiedź tej

osoby. Trochę jeszcze cierpliwości, jutro jeżeli będzie ładnie pójdę z wami na spacer.

Odeszła, a my zasiedliśmy do stołu.

Pamiętni zasad Kasi, konfitury zostawiliśmy na koniec.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

Pierwsze jest przyimkiem, lecz i rzeką włoską,
Drugie, zmięczaną niegdyś w pisowni spółgłoską.
Trzecie wspak, jakikolwiek los w życiu nas czeka,
Powinno zawsze dobrem być w czynach człowieka.
Wszystko zaś na tym świecie, nawet młodych ludzi,
Nakłania do rozwagi i ze szalu budzi.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

Pewien przedsiębiorca kupił hotel, na którym rocznie zarabiał $\frac{1}{3}$ więcej od pierwotnie posiadanej sumy, wydawał zaś rocznie 2000 rs. Przy końcu trzeciego roku, obliczywszy swój majątek, spostrzegł, że go podwoił. Jakąż więc sumę posiadał pierwotnie?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Szarady: Wie — wiór — ki.

Łamigłównki kryształowój:

K
U l e
S r o k a
S t a n l e y
J a c h o w i c z
K r a w i e c
O s i e ł
O c h
z

Kwadratu magicznego:

b a l
a b o
l o t

Łamigłównki liczbowej:

3
4
1 2 9 7 8
5
6

Skrzynka do listów.

Chętnie zaliczymy **Rusalkę** z pod Wielunia do liczby naszych korespondentek, polegając na jej obietnicy, że postara się zostać dobrą, rozsądną i pilną w naukach dziewczynką.

Siedmioletni **Sokół** z pod Wielunia pisze ładnie i czytelnie; dowiedzieliśmy się z jego listu, że młodszy braciszek ma więcej odwagi od starszej siostrzyczki, skoro ta obawiała się do nas zgłosić. Powinniście być zawsze przekonani, że każdy objaw przychylności waszej, bywa nam przyjemny.

Lwa z nad Nilu zapewniamy, że jakkolwiek styl gładki uważamy za pożądanym, wiemy, że jest to przymiot, który przy pracy usilnej z czasem dopiero się nabywa i jesteście pobłażliwi dla tych, którzy przedtem zastąpić go pragną dobrmi chęciami. Co do nadesłanej łamigłównki sylabowej, zwracamy uwagę na potrzebę zachowania pewnego związku logicznego, w znaczeniu wyrazów utworzonych z początkowych i końcowych liter zadania, co właśnie w tym razie pominięciem było.

Leśna Bogini zapytuje nas, czy będzie potrzebowała zdawać egzamin do III-ej klasy, skoro II-ą klasę przed rokiem ukończyła z nagrodą. Decyzja w tym względzie od władzy szkolnej zależy, sądzimy wszakże, że po przerwie kursu nauk, egzamin zawsze bywa wymagany.

Niezapominajce i **Wiochnie** z pod Wielunia, za liściki serdecznie dziękujemy. Cieszymy się, że są zadowolnione z wyniku konkursu i mamy nadzieję, że tenże z czasem jeszcze lepiej dla nich wypadnie. Prosimy też o doniesienie w przyszłości jak się powiodły roboty w ogródku? Jaki plon wydały kwiaty i warzywa? Obrazki wycięte należy przyklejać według upodobania na białych kartkach kajetu jeden obok drugiego, gdy są drobne. Radzi jesteście niezmiernie, że powieści w Wieczorach tak zajmują kochaną Wiochnę, jak również, że udały się przebrania według wskazówek danych w naszym kostiumowym balu. Nie wątpimy, że Diana o wiele lepiej wyglądać musiała gdy miała łuk oprócz półksiężycy.

Posłałiśmy **Janowi S.** żądany początek powieści: „Dla szczęścia rodziny”.

Myszka polna ofiaruje dla niezamożnych dzieci książki szkolne, których używać przestała; ofiary podobno zawsze z wdzięcznością przez potrzebujących przyjęte bywają.

Łamigłównki swego układu nadesłali: **Niezapominajka** i **Wiochna** z pod Wielunia, **Fiotek alpejski**, **Polna Myszka**, **Wandzia** z nad Warty, **Wróbelek**. Zadania i szarady z Wieczorów dobrze rozwiązali; **Lilja wodna** z nad Warty, **Henio T.**, **Cześ Z.**, **Stas Z.**, **Opteo Tuljo**, **Józef M.**, **Biała Róża**, **Czerwona Makówka**.

Polna Różyczka niech nigdy nie powątpiewa o gotowości swojej do korespondowania z nią i spełniania wszelkich jej poleceń. Nadesłaną łamigłównkę odebrałam. Polecenie twoje kochana Niezapominajko oddania przesyłki komu należy, spełniłam wiernie, o losach jej wszakże nie ja decyduję, lecz ci którym ją doręczyłam.

Autorke wierszyków Redakcja uprasza aby sobie innej, prostszy obrała pseudonym. Cieszę się, że stawia nasz stosunek odrazu na stopie właściwej poufalości; co po jakichś tytułach jeśli nam głównie o szczerą prawdę chodzi! Przysłany wierszyk gładko dosyć napisany, ale jeśli chcesz posłuchać życzliwej rady nie zamysław przedwcześnie o zawodzie autorskim; publiczność to surowy krytyk, który tylko utwory dojrzałe treścią i duchem pod rozwagę bierze. Poco zatem przedwcześnie szukać rozgłosu, który częstokroć o ciężki zawód przyprawić może? Pracuj lepiej w cichości, a jeśli masz rzeczywisty talent, nic on na tem nie straci, że dopiero w pełnym rozwoju wystąpi na widownię. Pytasz jeszcze o wiek mój; ciekawości twojej w tym względzie zaspokoić nie mogę, nie dla tego iżbym lata swoje ukrywała, ale metryki nieznane są dotąd u jaskółek.

Jaskółka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Reginka i Anielka D. rs. 1. — Mania J. rs. 1. — Reginka J. rs. 1. — Julcia P. rs. 1. — Stas i Ninka R. rs. 1. — Wandzia D. nowe buciki.